

brnąć im breakdance a. ► 1. a muzyka do tego tańca.

brędnia, Dni, Im M-nie. Brędnie to wypowiedzi niedorzeczne lub w oczywisty sposób nieprawdziwe. Słowo potoczne, używane z dezaprobatą. Co za brędnie przychodzi ci do głowy?... Znowu dupiacz ich i tumaż, jedni i drugi.

brędzić, D-je, Im M-nie. Brędzić, to mówić rzeczy nieprawdziwe, żartować, żwycze z powagą. Brędził. Był rozgorączkowany i mówił brędzi.

brędzi, D-je, Im M-nie. Brędzi, to mówić rzeczy nieprawdziwe, żartować, żwycze z powagą. Brędził. Był rozgorączkowany i mówił brędzi.

brędzi, D-je, Im M-nie. Brędzi, to mówić rzeczy nieprawdziwe, żartować, żwycze z powagą. Brędził. Był rozgorączkowany i mówił brędzi.

bre-łok, D-ka, Im M-ki. Brelok to nieduży, ozdobny wisiorek, zawieszony np. przy pasku lub kluczach. ◊ bre-łoczek, D-łoczek-ka, Im M-łoczek-ki.

bret-nał, D-ła, Im M-łe, D-łi. Bretnał to duży gwóźdź. Słowo nieco przestarzałe.

brew, D brwi. Brwi to łukowate pasma krótkich włosów rosnące nad oczami. Patrzył na mnie spod krzaczastych brwi... Roman, jakby nie dano, zmarszczył brwi... Z rozciętej brwi kapłał.

bre-werie, D-rii. Browerie to czyste nieociekające, często halabudne piwo. Błęszcza ziony od bre-wieria. Z bre-wieria.

bre-wiarz, D-zi, Im M-że, D-zy. Breviarz to zbiór obowiązkowych modlitw dla duchownych, podzielony na poszczególne dni roku. Zgromadzone w kaplicy siostry odmawiały brewiarz. ► Także książka zawierająca te modlitwy. Wyjął brewiarz kapłański i zaczął się modlić. ◊ bre-wia-rzo-wo-wo, -wi. Liturgiczne hymny brewiarzowe.

bre-zent, D-tu, Ms-zen-cie, Im M-ty. Brezent to gruba, mocna tkanina nieprzemakalna, używana do wyrobu namiotów, planek, worków i in. ...ciężarówka kryta brezentem. ◊ bre-zen-to-wo-wo, -wi. Otulił się szczerzej brezentowym płaszczem.

bridiż. Zob. brydzić.

brie [brj] to miękki ser z nalotem pleśniowym, o łagodnym smaku i barwie białej lub kremowej. ...serek brie.

brief-ing [brjfiŋg], D-gu, Im M-gi. Briefing to 1 konferencja prasowa, zwykle poświęcona jednemu tematowi. 2 odprawa pilotów przed lotem. Słowo środowiskowe.

brnąć, D-nie. 1 Jeśli brniemy przez coś, co utrudnia nam poruszanie się, np. przez śnieg, piaszczynę, to idziemy po tym wolno i z trudem. Brniemy w śniegu po kolana... Potem wstał i brnął dalej przez bujne trawy. 2 Jeśli brniemy w coś, to idziemy, zagłębiając się w to coraz bardziej. Rzymianie, wciągani w zasadzkę przez Germanów, brną coraz dalej w nieznaną puszczy... Deszcz wciąż szumiał, brnęliśmy dalej w ciemność.

3 Jeśli brniemy przez jakiś tekst, to czytamy go z trudem, ponieważ jest skomplikowany, nudny lub nieczytelny. Dostał zajadle, brnął poprzez zamazane miejsca na papierze.

RZ Z ZWYKLE LM (BIO-MSZE) =pleść
bzdury banana/ki

RZ NDK (M) LIS CZ (K-0)
bzo-ryć, -czy. Jeśli ktoś bzo-ryć krwią lub jeśli krew broczy z kogoś, to jest on ranny i krew wypływa z jego rany lub z ran na ciele. Słowo książkowe. Ciężko postrzelony w ramię, obficie broząc krwią, z trudem doczołgał się do drzwi... krew brocząca z rany.

RZ Z
bro-da, D-dy, C-dzie, Im D bród. 1 Broda to 1,1 dolna część twarzy poniżej ust. Zawięzła chustkę pod brodą i wyszła, trzaskając drzwiami. 1.2 zarost na tej części twarzy u mężczyzn, na szczękach i podbródku. Przez dwa tygodnie zapuszczał brodę... wysoki blondyn z brodą. 1.3 u zwierząt pęk dłuższej sierści pod pyskiem, a u ptaków pęk piór na piersi lub podgardlu. Mamo, ale ta koza ma śmieszny brodę!

RZ Z NL (M) MAJ
2 Kawał z brodą to stary dowcip, który wszyscy znają. Wyrażenie potoczne.

• pluć sobie w brodę: zob. pluć.

RZ MOS =brod
bro-dacz, D-za, Im M-cze, D-czy. 1 Brodacz to 1,1 mężczyzna mający bujną brodę — zarost na dolnej części twarzy. Widziałaś tego wysokiego brodacza? 1.2 zwierzę mające pęk dłuższej sierści pod pyskiem lub ptak z pękiem piór na piersi lub podgardlu. 2 Brodacz monachijski to inaczej sznauer.

RZ Z
bro-da-ty, -ci. Brodaty mężczyzna to mężczyzna mający brodę — zarost na dolnej części twarzy. ► Brodaty mężczyzna. Zapuszczam brodę, w li-liko do brodatych. ► Także o twarzy takiej osoby... ich brodaty i wąsate oblicza. ► Także o zwierzętach i ptakach... brodaty.

RZ Z
bro-daw-ka, D-ki, Im M-ki. Brodawka to 1,1 od niej ciemniejsza. Miał ręce poróżnione brodawkami i liszajami. ◊ bro-daw-ko-wo-wo, -wi. ...narosł brodaw-kowa. 2 Inaczej sutek. Wklęsłe brodawki utrudniały jej karmienie dziecka. ◊ bro-daw-ko-wo-wo, -wi. ...otoczka brodawkowa. 3 niewielki gruczoł w organizmie człowieka lub zwierzęcia, pełniący jakąś funkcję. Termin anatomiczny. ...brodawki smakowe... bro-dawka łzowa. ◊ bro-daw-ko-wo-wo, -wi. ...gruczoły brodawkowe. 4 kuliste zgrubienia na roślinie. Termin botaniczny. ...brodawki korzeniowe. ◊ bro-daw-ko-wo-wo, -wi. ...bakterie brodawkowe.

RZ Z
bro-dzić, -dzi, -dzą, brodzi. Jeśli brodzimy w wodzie, rzadziej w wysokiej trawie, to idziemy w nich z trudem, zanurzając lub zapadając się w nie. Brodząc w płytkim nurcie, możemy nabierać muszelek... Na rozlewiskach brodzili białe czaple... Po szczył brodząc w zbożu, Wojtek zapomniał o świecie.

RZ Z
bro-dzik, D-ka lub -ku, Im M-ki. Brodzik to 1 mały, płytki basen dla dzieci. Maluchy cały dzień pluskały się w brodziku. 2 naczynie o kształcie niedużej i płytkiej wanny lub kąpieli, w której zrobione zagłębienie, nad którym można przysnąć. W łazience zamontowano brodzik z przys-nicem.

RZ NDK (M) LIS CZ (K-0)
bro-ić, -i, -ie, broi. Broić, to wślazkać dziecko, broić, to wślazkać. Słowo potoczne. Broiła się w kąpielnię. ► Z ciebie rzecz, broiłaś się w kąpielnię bez pamięci.

RZ MOS
broj-ler, D-ry, Im M-ry. Brojler to młode kury, kaczki, gęsi, indyki lub króliki, intensywnie tuczone i przeznaczone na ubój.

RZ Z
bro-kat, D-tu, Ms-ka-cie, Im M-ty. Brokat to 1 gruba tkanina jedwabna o wypukłych wzorach,



tony parsons

mężczyzna i chłopiec



Najpiękniejszy chłopak na świecie

To chłopak, chłopak!

Mały chłopiec.

Patrzę na to maleństwo – łyse, pomarszczone, o zwiotczalej skórze starszka – i zachodzi we mnie jakaś reakcja chemiczna.

Ono – to znaczy on – wygląda jak najpiękniejsze dziecko na świecie. Czy rzeczywiście jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie? Czy może tak zostałem po prostu biologicznie zaprogramowany? Czy wszyscy odczuwają to samo? Nawet ludzie, którym rodzą się zwykłe dzieci? Czy nasze dziecko jest rzeczywiście takie piękne?

Szczerze mówiąc, nie wiem.

Dziecko śpi w ramionach kobiety, którą kocham. Siedzę na skraju łóżka i przyglądam się im obojgu, czując się związany z tą kobietą i z tym dzieckiem w sposób, w jaki nie czułem się jeszcze związany z nikim.

Po całym podnieceniu ostatnich dwudziestu czterech godzin nagle wypełnia mnie – i za chwilę się przeleje – fala wdzięczności, szczęścia i miłości.

Nie chcę się skompromitować – zepsuć wszystkiego, rozmazać tej chwili łzami. W tym samym momencie dziecko budzi się, kwiląc o jedzenie, a my – ja i kobieta, którą kocham – wybuchamy śmiechem. Śmiejemy się, wstrząśnięci i zachwyceni.

To mały cud. I chociaż nie potrafimy uciec przed realiami codziennego życia – kiedy będę musiał wrócić do pracy? – dzień skrzy się prawdziwą magią. Nie mówimy o tej magii, ale czujemy ją wokół siebie.

Później przychodzą moi rodzice. Po wszystkich pocałunkach i uściskach moja mama liczy małemu palce u rąk i stóp, sprawdzając, czy nie ma między nimi błon. Ale on jest zdrowy, dziecko jest zdrowe.

– Ale z niego przystojniak – mówi mama. – Mały przystojniak.

Mój ojciec przygląda się dziecku i coś się w nim roztapia.

Ojciec ma wiele zalet, ale na pewno nie jest miękki, nie jest sentymentalny. Nie zwykł gaworzyć z dziećmi na ulicy. Jest dobrym człowiekiem, ale wiele przeszedł w życiu i to go zahartowało. Dzisiaj zaczyna w nim pękać lodowa tafla i widzę, że on też to czuje.

To najpiękniejsze dziecko na świecie.

Daję ojcu butelkę, którą kupiłem przed kilku miesiącami. Bourbona. Ojciec pije tylko piwo i whisky, ale bierze butelkę z szerokim uśmiechem. Na nalepce widnieje napis „Old Grand-Dad”. To on. Mój ojciec.

I uświadamiam sobie, że stałem się do niego bardziej podobny. Dziś ja też jestem ojcem. Wszystkie domniemane wyznaczniki wieku męskiego – utrata cnoty, zdanie egzaminu na prawo jazdy, pierwsze głosowanie – były tylko dalekimi peryferiami młodości. Dokonałem tych wszystkich rzeczy, ale w zasadzie dalej byłem taki sam, dalej byłem chłopcem.

Teraz jednak pomogłem przyjść na świat innej ludzkiej istocie.

Dziś stałem się tym, kim mój ojciec był zawsze.

Dziś stałem się mężczyzną.

Mam dwadzieścia pięć lat.

1

Oto kilka sytuacji, których trzeba się wystrzegać, szykując się do najważniejszych w życiu („wreszcie jestem dorosły”) trzydziestych urodzin.

Jednorazowego skoku w bok z koleżanką z pracy.

Nierozważnego zakupu luksusowych przedmiotów, na które cię nie stać.

Porzucenia przez żonę.

Wylania z roboty.

Nagłego stania się samotnym rodzicem.

Jeśli zbliżacie się do trzydziestki, wystrzegajcie się tego, bez względu na to, co robicie.

Schrzani to wam cały dzień.

*

Trzydziestka powinna przypaść w momencie, gdy wydaje nam się, że teraz zaczynają się nasze złote lata, lata, kiedy będziemy zbierali śmietankę – najlepsze jest jeszcze przed nami... i tak dalej w tym samym stylu.

Jesteśmy w dalszym ciągu dość młodzi, żeby zarwać całą noc, ale równocześnie dość starzy, żeby posiadać kartę kredytową. Wszystkie wątpliwości i nędza wieku młodzieńczego pozostały w końcu za nami – i chwała za to Bogu – lecz wciąż mamy wiele wigoru.

To powinny być dobre urodziny. Jedne z najlepszych.

Ale jak świętować ten wielki dzień? Z bandą roześmianych przyjaciół wolnego stanu, w jakimś intymnym barze lub restauracji, czy też wspólnie z kochającą żoną i zapatrzonymi w ciebie dziećmi, w domowym zaciszu?

Musi być jakiś dobry sposób uczczenia trzydziestki. Możliwe, że każdy sposób jest dobry.

Wszystkie moje wyobrażenia na temat tych konkretnych urodzin wzięły się chyba z jakiegoś cukierkowego amerykańskiego sitcomu. Przed oczami miałem atrakcyjną parę trzydziestolatków, obściskującą się niczym dwoje napalonych nastolatków, a w tle pełzający po parkiecie, gaworzący niemowlak, względnie grupkę przystojnych, błyskotliwie dowcipnych przyjaciół, którzy ubrani jak z żurnala, popijają latte, żaląc się na brak dziewczyn do wzięcia. Na tym polegał mój problem. Dumając o tym, jak skończę trzydziestkę, wyobrażałem sobie cudze życie.

Taki właśnie powinien być trzydziestolatek – dorosły, lecz nie rozczarowany, ustawiony, lecz niepopadający w błogie zadowolenie, mądry, lecz nie aż do tego stopnia, żeby chcieć się rzucić pod pociąg. Facet, który ma przed sobą swój najlepszy okres.

Oczywiście gdzieś koło trzydziestki człowiek uświadamia sobie również, że nie będzie żyć wiecznie. Ten fakt powinien jednak tylko poprawić smak roześmianej teraźniejszości. Nie wolno pozwolić, by wizja nieuniknionej śmierci kładła się cieniem na różne sprawy. Żeby długie, powolne schodzenie do grobu popsuło nam całą zabawę.

Bez względu na to, czy cieszy się ostatnimi latami wolności, czy też wkroczyliście niedawno w bardziej dorosły i odpowiedzialny etap życia z kimś, kogo kochacie, trudno sobie wyobrazić, by ukończenie trzydziestki było dla was czymś strasznym.

Ale mnie udało się tego jakoś dokonać.

Samochód miał zapach cudzego życia. Zapach wolności.

Stał w oknie wystawowym salonu – wrzecionowaty sportowy bolid, który nawet ze spuszczoneym dachem wydawał się gładki i zwarty jak muskuł.

Naturalnie był czerwony – koloru płomiennej, napakowanej testosteronem czerwieni.

Kiedy byłem trochę młodszy, tego rodzaju beczelna apoteoza rozbuchanej męskości kazałaby mi uśmiechnąć się z pogardą, zachichotać, porzygać się, względnie zrobić to wszystko jednocześnie.

Teraz jednak wcale mi to nie wadziło. Prawdę mówiąc, to auto wydawało się dokładnie tym, czego szukałem na obecnym etapie swojego życia.

Nie jestem człowiekiem, który zna na pamięć wszystkie marki samochodów, lecz przeglądając ukradkiem reklamy w kolorowych czasopismach, zadałem sobie dość trudu, żeby ustalić nazwę tego konkretnego cacka. Tak, to prawda. Wdzieliśmy się już wcześniej.

Choć nazwa nie miała w gruncie rzeczy znaczenia. Podobało mi się po prostu, jak ono wygląda. I działał na mnie ten zapach. Przede wszystkim zapach. Zapach, który sugerował, że wszystko może się zdarzyć. Co w nim takiego było?

Połączone aromaty skóry, gumy oraz wszystkich tych jardów świeżo lakierowanej stali składały się na woń porażającej nowości, nowości tak szokującej, że zwałała mnie niemal z nóg. Ta nowość sygnalizowała istnienie innego świata, nieograniczonego i wolnego, istnienie szerokiej drogi, która prowadziła gdzieś ku świetlanej przyszłości. Tam, gdzie nigdy nie słyszano o drogowych pachółkach, o procesie fizycznego rozkładu i moich trzydziestych urodzinach.

Znałem skądś ten zapach i teraz przypomniałem sobie, kiedy doznałem podobnych odczuć. To śmieszne, ale podobnie czułem się, trzymając w rękach nowo narodzone niemowlę.

Porównanie nie było może najlepsze – samochód nie potrafił zezować na mnie oczkami, które dopiero co zaczęły

widzieć, nie potrafił złapać mojego palca w malutką piąstkę ani uśmiechnąć się do mnie bezzębnymi dziąsłami. Ale przez moment wydawało mi się, że to robi.

Za plecami usłyszałem czyjeś kroki.

– Żyje się tylko raz – oznajmił sprzedawca.

Uśmiechnąłem się grzecznie, dając do zrozumienia, że będę to jeszcze musiał przemyśleć.

– Szuka pan prawdziwej frajdy? – zapytał. – Ponieważ, jeśli MGF jest do czegoś stworzony, to właśnie do tego.

Wciskając mi swoją standardową gadkę dealera, oceniał mnie jednocześnie wzrokiem, próbując osądzić, czy warto odbyć ze mną jazdę próbną.

Był nachalny, ale nie aż tak bardzo, żeby chodziły mi po plecach ciarki. Wykonywał po prostu swoją robotę. I mimo mego weekendowego stroju – który z racji mojego zawodu nie różnił się tak bardzo od stroju, w jakim chodziłem codziennie – musiał zobaczyć we mnie człowieka zamożnego. Kogoś, kto podążał ścieżką szybkiej kariery i szukał odpowiednich do tego czterech kółek. Kogoś młodego, wolnego i samotnego. Prowadzącego życie bez trosk jak w reklamie piwa. Jak bardzo można się czasami pomylić.

– Ten model ma system zmiennej regulacji zaworów – oznajmił z autentycznym, jak mi się zdawało, entuzjazmem. – Można regulować czas otwarcia zaworów dolotowych, zmieniając prędkość rotacyjną każdego tłoka.

O czym on, kurwa, nawijał? Czy to miało coś wspólnego z silnikiem?

– To prawdziwy magnes na laski – dodał, widząc moją głupawą minę. – Można dymać, ile wlezie. Młody samotny facet nie może wybrać lepszego wozu.

Tym razem trafił w sedno. Odpuść sobie techniczne bajery, po prostu powiedz, że w takim samochodzie człowiek może się zatracić. Daj mi to do zrozumienia. To właśnie chciałem usłyszeć.

Coś odciągnęło nagle ode mnie uwagę sprzedawcy. Wyj-

rzałem w ślad za nim na ulicę przez wielką szybę samochodowego salonu.

Gapił się na wysoką blondynkę, która trzymała za rękę małego chłopca w T-shircie z *Gwiezdných wojen*. Stali otoczeni torbami z supermarketu. I przyglądali się nam.

Nawet z tymi torbami i małym dzieckiem blondynka należała do kobiet, które przyciągają wzrok.

Co się tyczy dziecka – a było to z całą pewnością jej dziecko – trzymało w ręku długą plastikową rurkę, w której żarzyło się nikłe światło.

Jeśli w ciągu ostatnich dwudziestu lat zdarzyło wam się pójść kilka razy do kina, niechybnie rozpoznalibyście w tym przedmiocie świetlny miecz, tradycyjną broń Rycerzy Jedi. Ten akurat potrzebował nowych baterii.

Piękna kobieta uśmiechała się do mnie i do sprzedawcy. Mały chłopczyk wyciągał ku nam świetlny miecz, jakby chciał nas nim dzielić.

– Tato – wołał po drugiej stronie dzielącej nas szklanej tafli. Nie było go słyhać, ale to właśnie mówił.

– To moja żona i syn – oznajmiłem, odwracając się i widząc, jak w oczach sprzedawcy pojawia się rozczarowanie. – Muszę lecieć.

Tato. To o mnie mowa. Jestem tatą.

*

– Przecież nawet nie lubisz samochodów – przypomniała mi żona, przeciskając się naszym starym volkswagenem kombi przez zakorkowane pod wieczór ulice.

– Tylko oglądałem.

– I jesteś za młody na kryzys wieku średniego – dodała. – Jako trzydziestolatek jesteś na to o wiele za młody, Harry. Dopiero za piętnaście lat uciekniesz z sekretarką, która będzie dość młoda, żeby zostać twoją drugą żoną. A ja utnę rękawy we wszystkich twoich garniturach. Nie mówiąc już o twoich jajach.

– Nie mam jeszcze trzydziestki, Gino – zachichotałem, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Gina zawsze przesadzała. – Mam dwadzieścia dziewięć lat.

– Jeszcze tylko przez miesiąc! – roześmiała się.

– Niedługo twoje urodziny – stwierdził Pat, śmiejąc się wraz z nią, choć sam nie wiedział dlaczego, i wałąc mnie po głowie tym swoim cholernym świetlnym mieczem.

– Proszę, nie rób tego, Pat – powiedziałem.

Przypięty pasami do swojego samochodowego fotelika, siedział z tyłu razem z naszymi tygodniowymi zakupami, marmocząc pod nosem i udając, że wraz z Harrisonem Fordem leci Sokołem Milenium.

– Straciłem prawy silnik – mruknął. – Odpalaj, kiedy będziemy gotowi.

Zerknąłem na niego. Miał cztery lata i brudne blond włosy, opadające na oczy, które miały ten sam odcień błękitu co oczy matki. Błękitu Tiffany’ego. Widząc, że mu się przyglądam, uśmiechnął się z czystą dziecinną radością.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, tato – zaśpiewał. – Wszystkiego najlepszego.

Dla Pata moje urodziny były okazją, by dać mi w końcu własnoręcznie namalowaną laurkę, którą schował pod łóżkiem. (Luke Skywalker dekapitował na niej swoim niezawodnym świetlnym mieczem kosmicznego potwora). Dla mnie stanowiły sygnał, że najlepsze lata mam już być może za sobą. Naprawdę.

Kiedy znowu poczuję się tak samo jak owego wieczoru, gdy Gina oznajmiła, że za mnie wyjdzie? Kiedy znowu poczuję się tak, jak czułem się owego ranka, gdy urodził mi się syn? Kiedy życie stanie się z powrotem takie... prawdziwe? Kiedy?

– Odkąd to zacząłeś się interesować samochodami? – zapytała Gina. Jak widać, nie zamierzała mi szybko odpuścić. – Założę się, że nie wiesz nawet, jakie paliwo wlewa się do tego wozu. No?

– Och, daj spokój, Gino.

– No więc jakie?

Niech to szlag.

– Zielone – odparłem na chybił trafił. – Benzynę bezołowiową. Tę, którą tankując, pomagasz ocalić tropikalne lasy.

– Olej napędowy, ty ciółku – roześmiała się. – Nigdy nie znałam faceta, który by się mniej interesował samochodami. Co ci odbiło?

Cóż mogłem jej powiedzieć? Człowiek nie mówi żonie, że jakiś nieożywiony przedmiot symbolizuje dla niego wszystkie te rzeczy, o których wie, że nie będzie ich nigdy posiadał. Miejsca, których nigdy nie zobaczy, kobiety, których nigdy nie pokocha, rzeczy, których nigdy nie robi. Nie wolno opowiadać żonie takich bzdetów. Nawet żonie, którą bardzo się kocha. Zwłaszcza takiej.

– Jest tam miejsce tylko dla jednego pasażera – stwierdziła.

– Gdzie? – zapytałem, udając głupka.

– Dobrze wiesz, o czym mówię – odparła. – Jest tam miejsce tylko dla jednego pasażera... dla jednej szczupłej osoby płci żeńskiej.

– Wciąż jesteś szczupłą osobą płci żeńskiej – mruknąłem. – Tak mi się w każdym razie zdawało, gdy ci się ostatnio przyglądałem.

– Co cię do tego skłoniło, Harry? Nie kręć. Powiedz mi.

– Może chcę sobie jakoś zrekompensować fakt, że staję się starym przykiem? Wstępuję do klubu starych przyków, więc pragnę w żaloszny sposób odzyskać swą wspaniałą młodość. Nie bacząc na to, że i tak mi się to nie uda oraz że moja młodość nie była wcale taka wspaniała. Czyż nie tak właśnie zachowują się mężczyźni?

– Kończysz trzydzieści lat – powiedziała. – Wypijemy kilka butelek i będziemy mieli śliczny tort ze świeczkami.

– I baloniki – wtrącił Pat.

– I baloniki – zgodziła się Gina. – Nie sprawimy ci zawodu, Harry – dodała, kręcąc swoją śliczną głową.

Była ode mnie kilka miesięcy starsza. Swoje trzydzieste

urodziny spędziła w otoczeniu przyjaciół i rodziny, tańcząc z synem do największych przebojów Wham, z kieliszkiem szampana w ręku. Wyglądała tamtej nocy wspaniale, naprawdę. Moje własne urodziny zapowiadały się jednak bardziej traumatycznie.

– Chyba niczego nie żałujesz? – zapytała.

– Na przykład czego?

– No wiesz – odparła, nagle śmiertelnie poważna. – Na przykład tego, że jesteśmy razem.

Wzięliśmy ślub w młodym wieku. Gina była wtedy w trzecim miesiącu ciąży i patrząc z pewnego dystansu, uważam, że był to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Lecz kiedy dobiegł końca, nic już nie było takie samo jak przedtem. Ponieważ nie mogliśmy ukryć faktu, że jesteśmy dorośli.

Stacja radiowa, w której pracowałem, dała mi tydzień urlopu i spędziliśmy miodowy miesiąc w naszym małym mieszkaniu, oglądając w łóżku poranną telewizję, pojadając sandwicze i rozmawiając o przepięknym dzidziusiu, jakiego będziemy mieli.

Mówiliśmy też o prawdziwym miodowym miesiącu – Gina chciała, żebyśmy ponurkowali trochę pośród tropikalnych ryb u wybrzeży Okinawy. Ale kiedy już mieliśmy trochę więcej pieniędzy i trochę więcej czasu, pojawił się Pat i życie potoczyło się utartym torem.

Odkryliśmy, że nasze ślubne obrączki odseparowały nas od reszty świata. Inne małżeństwa, które znaliśmy, były od nas co najmniej dziesięć lat starsze, a nasi rówieśnicy znajdowali się w tym krótkim okresie życia, gdy nie mieszka się już u swojej matki, lecz nie trzeba jeszcze spłacać hipoteki. Nasza mała rodzina zdana była wyłącznie na samą siebie.

Kiedy nasi przyjaciele tańczyli nocami w klubach, my nie spaliliśmy, ponieważ małemu wyrzynały się ząbki. Kiedy oni martwili się, jak znaleźć odpowiedniego partnera, my martwiliśmy się, jak spłacić ratę za nasz pierwszy prawdziwy dom. Mimo to niczego nie żałowałem. Owszem, poświęciliśmy naszą wolność. Poświęciliśmy ją jednak dla czegoś lepszego.

Kochałem żonę i kochałem syna. Oboje nadawali sens mojemu życiu. Mój świat byłby bez nich niewyobrażalny. Wiedziałem, że mam szczęście. Ale ostatnio coraz częściej zastanawiałem się, kiedy przestałem być młody – i nic na to nie mogłem poradzić. Po prostu nie mogłem.

– Naprawdę nie znoszę tego, że gdy człowiek robi się starszy, jego życie zaczyna się jakby kurczyć – powiedziałem. – Ma coraz bardziej ograniczone opcje. Od kiedy to posiadanie takiego samochodu stało się dla mnie czymś śmiesznym? Dokładnie od kiedy? Dlaczego to jest takie zabawne? Bardzo chciałbym wiedzieć. To wszystko.

– Ma w sobie moc – oświadczył Pat.

– Czerwony sportowy samochód – mruknęła pod nosem Gina. – Przecież ty nawet nie lubisz prowadzić.

– Słuchaj, tylko go oglądałem, prawda? – zachnąłem się.

– Wszystkiego najlepszego, wszystkiego najlepszego – zasnucił nagle Pat i walnął mnie w ucho swoim mieczem. – Szklanka soku pomidorowego. Wyglądasz jak mała, kolego.

– To wcale nie było miłe – powiedziałem.

Samochody przed nami stanęły i poczułem, że krew pulsuje mi w uchu.

Gina zaciągnęła ręczny hamulec i spojrzała na mnie tak, jakby próbowała sobie przypomnieć, co jej się we mnie w ogóle spodobało. Wydawała się lekko wytrącona z równowagi.

Pamiętałem, co mnie się w niej spodobało. Miała najdłuższe nogi, jakie kiedykolwiek widziałem u kobiety. Jednak nadal nie byłem pewien, czy to najlepsza podstawa wielkiej miłości, takiej, jaka przytrafia się tylko raz w życiu.

Czy może najgorsza.

2

Nie mogąc dłużej znieść widoku wlokącej się przede mną białej skorodowanej furgonetki, zjechałem na drugie pasmo i wcisnąłem gaz do dechy.

Mój MGF przemknął ze wzbudzającym zaufanie gardłowym rykiem obok starego rzęcha. Kiedy wracałem na swój pas, w tylnym lusterku mignęła mi gęba kierowcy – zepsute zęby, tatuaż, usta skrzywione w grymasie wściekłości. Czułem się świetnie. Dzięki nowemu sportowemu samochodowi nie musiałem już oglądać skorodowanych białych furgonetek ani ich kierowców. Wszystko to zostawiłem daleko w tyle. Spoglądałem ufnie w przyszłość, w której czekały mnie przejażdżki z otwartym dachem oraz zachwycone spojrzenia kobiet. Chwilę później musiałem zatrzymać się na czerwonych światłach i furgonetka stanęła obok mnie.

Jezu, pomyślałem. Zaraz padnę ofiarą drogowej agresji.

– Ty głupi mały gnoju! – sklął mnie kierowca, opuszczając szybę i pokazując twarz niczym Big Mac w kubie piwa. – Wsiadaj i pchaj to gówno!

Facet odjechał na zielonym świetle, a ja stałem tam jeszcze przez chwilę, trzęsąc się i zastanawiając, co powinienem mu być odpowiedzieć.

Jeśli wysiadę, przyjacielu, to tylko po to, żeby wepchnąć ci tę landarę w twój wytatuowany tyłek! Nawet gdybym miał

go pchać, przyjacielu – naprawdę dobrze byłoby go nazwać przyjacielem – i tak poruszałbym się szybciej od ciebie. Ty pacanie z piwnym bebechem! Ty gruby kutasie!

Wyobraziłem sobie, jak załatwiam go celną odzywką, a potem odjeżdżam z piskiem opon i irytującym uśmiechem na twarzy. W rzeczywistości jednak siedziałem tam rozdygotany tak długo, że w końcu stojący za mną kierowcy zaczęli trąbić i krzyżeć, że zmieniły się światła.

Wtedy odjechałem, zastanawiając się, co w tej sytuacji zrobiłby mój ojciec.

Na pewno nie siedziałby beczynnienie w samochodzie. I nie traciłby czasu, próbując wymyślić jakąś odzywkę godną Oscara Wilde’a.

Mój ojciec wysiadłby po prostu z MGF i znokautował tego obwiesia z furgonetki. Naprawdę by to zrobił.

Tyle że, prawdę mówiąc, w życiu nie zobaczylibyście mojego ojca w luksusowym sportowym samochodzie. Uważał, że czymś takim jeżdżą tylko palanci.

Mój ojciec czułby się o wiele lepiej za kierownicą jednej z tych białych furgonetek.

*

W kwestii MGF Gina okazała nadzwyczajne zrozumienie. Namawiała mnie, bym wrócił do salonu i pogadał ze sprzedawcą, nawet kiedy mnie samemu pomysł kupienia sobie sportowego auta wydał się trochę głupi.

Ten zakup był wariactwem z wielu powodów. MGF ma bagażnik mniejszy od wózka w supermarkecie. Naprawdę nie potrzebowaliśmy dwóch samochodów. Ruchomy dach jest w Londynie obiektem nienawiści każdego czternastoletniego pryszczatego kretyna z zadrą w sercu oraz nożem w skarpetce. Ale Gina nie chciała o tym słyszeć.

Powiedziała, abym kupił ten wóz i przestał sobie wmawiać, że moje życie się skończyło tylko dlatego, że dobiegłem trzydziestki. Powiedziała, że jestem żaloszny, ale mówiąc to, śmiała

się i objęła mnie ramieniem, co trochę mnie rozkleiło. Chciała, żebym się trochę opamiętał. Marzenie ściętej głowy.

Nigdy wcześniej w trakcie spędzonych wspólnie siedmiu lat nie stać nas było na porządny drugi samochód. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie stać nas było nawet na niewia-rygodnie tani drugi samochód. Dopiero od niedawna byliśmy posiadaczami pierwszego taniego samochodu.

Ale nie groził nam już atak serca za każdym razem, gdy listonosz przynosił rachunek do zapłacenia. Zacząłem w końcu dobrze zarabiać.

Byłem producentem programu *Marty Mann Show*, nocnego talk-show nadawanego w każdą sobotę w naziemnej telewizji. Przez poprzednie sześć lat również odpowiadałem za produkcję *Marty Mann Show*, ale wtedy nadawaliśmy program w lokalnym radiu i mało kto w kraju słyszał o jego szalonym prezenterze. Miałem wrażenie, że od tego czasu minęły wieki.

Przed dwunastoma miesiącami Marty i ja przeszliśmy z zerobudżetowego programu radiowego do niskobudżetowego widowiska telewizyjnego. Granica między nimi była zaskakująco cienka. Jej przekroczenie wystarczyło jednak, by Marty stał się kimś w rodzaju gwiazdy.

Kiedy wchodziło się z nim do restauracji, wszyscy przestawali jeść i gapili się na niego jak sroka w gnat. Dziewczęta, które przed kilku laty nie dotknęłyby go i w chirurgicznych rękawiczkach, teraz widziały w nim boga miłości. Fotografo- wano go nawet, kiedy nie robił nic szczególnego. Marty osiągnął sukces i był na tyle przyzwoity, żeby się na mnie nie wypiąć.

Krytycy, w każdym razie ci, którzy go lubili, uważali go za dziecinnego – mając na myśli, że jest otwarty, szczerzy i kieruje się intuicją. Ich zdaniem zadawał pytania, o których inni prezenterzy bali się nawet pomyśleć. I była to prawda – w umyśle Marty’ego kompletnie nie funkcjonowała autocen- zura, którą wydaje się posiadać każdy z nas. Ludzie udzielali

mu odpowiedzi nawet w momentach, kiedy zasługiwał na to, żeby dać mu w zęby.

Krytycy, którzy nie lubili Marty'ego, również określali go mianem dziecinnygo – mając na myśli, że jest samolubny, niedojrzały i okrutny. Ale tak naprawdę Marty nie był wcale dziecinny. Czasami obserwowałem, jak nasz Pat godzinami bawi się spokojnie swoimi plastikowymi zabawkami z *Gwiezdnych wojen*. To było dziecinne. Marty nigdy nie potrafiłby skupić na czymś tak długo uwagi. Marty nie był dziecinny. Był po prostu niedorozwinięty.

Poznał się w lokalnej rozgłośni radiowej, której pracownicy albo dopiero pięli się w górę, albo mieli już za sobą szczyty powodzenia. Mieściła się w obskurnym małym budynku pełnym skwaszonych ambicji i stęchłego papierosowego dymu. Większość dzwoniących do nas ludzi była albo beznadziejnie samotna, albo na granicy świra. Zawsze jednak tęskniłem trochę za tym miejscem. Ponieważ tam właśnie spotkałem Ginę.

Rozgłośnia miała pewne problemy z zapraszaniem gości – z jakiegoś powodu nie zależało im na naszych czekach, na których wypisane sumy były tak małe, że nie dostrzegało się ich gołym okiem – w związku z czym w naszych audycjach zawsze obecny był pewien element improwizacji.

Kiedy na przykład zaczęły bankrutować pierwsze japońskie banki, gość, którego zaprosiliśmy, żeby powiedział, co to wszystko znaczy, nie był ekonomistą ani dziennikarzem od spraw gospodarki, lecz profesorem, który uczył japońskiego w college'u po drugiej stronie ulicy.

W porządku, był tylko nauczycielem japońskiego, ale jak każdy nauczyciel języka, kochał kraj, którego mowy uczył. Któż potrafił lepiej opowiedzieć o azjatyckich tygrysach, które zmieniły się w wykastrowane kocury? Cóż, prawdopodobnie wielu ludzi. Ale on był najlepszym z tych, których mieliśmy pod ręką. Tyle że w ogóle się nie pojawił.

Solidaryzując się jakby z pękającym balonem japońskiej gospodarki, rankiem tamtego dnia pękł wyrostek robaczkowy profesora i zamiast profesora pojawiła się jego najlepsza studentka – Gina.

Wysoka, promienna Gina. Mówiła płynnie po japońsku, była ekspertką w dziedzinie japońskiej kultury i miała nogi do samej szyi. Zabrałem ją do studia i bałem się nawet do niej odezwać, bałem się spojrzeć jej w oczy. Była piękna, czarująca i inteligentna. Ale co najważniejsze, należała do zupełnie innej ligi.

A potem w studiu zapaliła się czerwona lampka i coś się stało. Albo raczej nie stało się kompletnie nic. Ginę sparaliżowały nerwy. Nie była zdolna wykrztusić ani słowa.

Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, wydawała mi się nieosiągalna. Jednak widząc, jak poci się i jąka, opowiadając nieskładnie o kryzysie ekonomicznym, dostrzegłem w niej nagle bratnią duszę. I domyśliłem się, że mam jakąś szansę. Być może niewielką. Nie większą niż śnieżna kula w piekle. Ale jednak.

Poza tym dobrze wiedziałem, jak się czuje. Czerwona lampka zawsze wywoływała u mnie te same symptomy. Nigdy nie czułem się swobodnie przed mikrofonem lub przed kamerą – na samą myśl o tym nadal oblewa mnie zimny pot.

Więc kiedy było już po wszystkim i Marty wyzwolił ją z niedoli, trudno mi było jej nie współczuć. Zniosła całą przygodę bardzo dobrze, pokpiwając z własnej tremy i zarzekając się, że jej kariera medialna jest już skończona.

Słyszac to, podpadłem na duchu.

Skoro tak, to kiedy się znowu zobaczymy?

W Ginie ujęło mnie to, że nie przywiązywała wielkiej wagi do swojej urody. Wiedziała, że jest atrakcyjna, lecz nie dbała o to. A konkretniej, uważała, że to jej najmniej interesujący przymiot. Ale ja nie byłem facetem, za kim obejrzelibyście się na ulicy. Na kimś, kto wygląda tak zwyczajnie jak ja, piękno nie może nie zrobić wrażenia.

Zabrała mnie na sushi do Sogo, dużego japońskiego domu towarowego przy Piccadilly Circus, gdzie znał ją cały personel. Rozmawiała z nimi po japońsku, a oni zwracali się do niej „Gina-san”.

– Gina-san? – zdziwiłem się.

– Trudno to dokładnie przetłumaczyć – odparła z uśmiechem. – Znaczą coś w rodzaju: szanowna, czcigodna Gina.

Szanowna, czcigodna Gina. Zakochała się w japońskiej kulturze już jako mała dziewczynka. Mieszkała nawet w Japonii przez cały rok pomiędzy szóstą klasą a college’em, ucząc angielskiego w Kioto („najszczęśliwszy rok w moim życiu”) i miała zamiar tam wrócić. Zaproponowano jej pracę w oddziale amerykańskiego banku w Tokio. Nic nie mogło jej powstrzymać. Modliłem się, żeby mnie się to udało.

Wytężając desperacko umysł, by pochwalić się przed nią swoją skromną wiedzą o Japonii, wspomniałem o Yukio Mishimie. Określiła pisarza mianem prawicowego oszołoma („Japonia to nie tylko surowa ryba i rytualne samobójstwo”) i stwierdziła, że jeśli chcę naprawdę zrozumieć ten kraj, powinienem przeczytać Kawabatę. Dodała, że może mi pożyczyć kilka jego książek. Ujrzałem w tym swoją szansę i uchwyciłem się jej.

Kiedy spotkaliśmy się następnym razem, przyniosła mi powieść pod tytułem *Kraina śniegu*. Przeczytałem ją zaraz po powrocie do domu (była całkiem niezłą; opowiadała o znużonym życiu playboyu, który w górskim uzdrowisku zakochuje się w upadłej gejszy), wyobrażając sobie oczy Giny, jej nogi oraz to, jak rozjaśniała się jej cała twarz, kiedy się śmiała.

Przyrządziła kolację w swoim mieszkaniu. Przed wejściem musiałem zdjąć buty. Mówiliśmy na temat japońskiej kultury – właściwie to Gina mówiła, a ja słuchałem, jedząc ryż pałeczkami i upuszczając na dywan kawałki teriyaki z kurczaka – i w końcu nadeszła pora, żeby albo wezwać taksówkę, albo umyć zęby. Chwilę później kochaliśmy się na podłodze – na

futonie, jak powiedziała Gina. Byłem dla niej gotów zbombardować Pearl Harbor.

I chciałem, żeby została ze mną na zawsze. W związku z tym obiecałem jej wszystko – szczęście, dozonną miłość, a przede wszystkim rodzinę. Wiedziałem, że rodzina jest dla niej bardzo ważna – jej tato dał nogę, kiedy Gina miała cztery latka, i przez całe dzieciństwo tęskniła za bezpiecznym rodzinnym domem. Mimo to, idąc do banku, żeby poinformować ich, iż nie pojedzie do Tokio, miała łzy w oczach.

Zamiast zamieszkać w Japonii, przez jakiś czas tłumaczyła dorywczo teksty dla japońskich firm w Londynie. Niestety, wiele z nich właśnie bankrutowało albo pakowało manatki. Nie zrobiła takiej kariery, jaką chciała zrobić. Wiedziałem, że wiele dla mnie poświęciła. Gdybym nie był tak szaleńczo szczęśliwy, mogłyby mnie nawet dręczyć wyrzuty sumienia.

Kiedy wzięliśmy ślub i urodził się Pat, Gina została w domu. Oświadczyła, że Pat i ja – „moi dwaj chłopcy”, jak nas nazywała – jesteśmy dla niej ważniejsi niż kariera zawodowa.

Podejrzywałem, że na tę decyzję w równym rzędzie wpłynęło pragnienie posiadania rodziny, co rozczarowanie pracą. Ona jednak zawsze starała się sprawiać wrażenie, że to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

– Nie chcę, żeby mojego syna wychowywali obcy ludzie – stwierdziła. – Nie chcę, żeby jakaś spasiona nastolatka z Bawarii puszczała mu filmy na wideo, kiedy ja jestem w biurze.

– Świetnie – odparłem.

– I nie chcę, żeby wszystkie posiłki, jakie je, były podgrzewane w mikrofalówce. Nie chcę przychodzić z pracy zbyt zmęczona, żeby się z nim pobawić. Nie chcę, żeby beze mnie dorastał. Chcę, żeby miał jakieś życie rodzinne... cokolwiek to znaczy. Nie chcę, żeby miał dzieciństwo takie jak ja.

– Zgoda – powiedziałem.

Wiedziałem, że to drażliwy temat. Gina wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Co jest złego w tym, że kobieta chce zostać w domu ze swoim dzieckiem? – zapytała. – Całe to gadanie o realizowaniu własnych ambicji jest takie żałosne i w stylu lat osiemdziesiątych. Cała ta mania posiadania... Możemy się przecież utrzymać za mniejsze pieniądze, prawda? Obiecuj tylko, że raz w tygodniu będziesz mi kupował sushi.

Przyrzekłem, że będę jej kupował tyle surowej ryby, że wyrosną jej skrzela, i Gina została w domu, żeby opiekować się naszym synem.

A ja, wracając wieczorem z pracy, wołałem: „Cześć, skarbie, już jestem”, zupełnie jakbyśmy byli postaciami z jakiegoś amerykańskiego sitcomu z lat pięćdziesiątych, ja Dickiem Van Dykiem przynoszącym do domu bekon, a ona Mary Tyler Moore przyrządzającą kanapki.

Nie wiem, dlaczego próbowałem robić sobie z tego żarty. Może dlatego, że w głębi serca uważałem, że Gina udaje tylko, że jest kurą domową. A ja udaję tylko swojego ojca.